

w serwilizmie (podporządkowaniu się), skrywającym obłudę. Zanim odpowiemy czynem, najpierw odpowiadamy słowem. Słowo można zafałszować, zwłaszcza jeśli przyjmujemy za dogmat, że najważniejsza jest „właściwa” odpowiedź, by mama była zadowolona, by ksiądz był zadowolony, by przełożony w pracy był zadowolony, by szef partii był zadowolony, by biskup był zadowolony. Takie zachowania wcale nie są rzadkie. Lepiej wydawać się cnotliwym niż takim być. Niektórzy sobie żartują, że najlepiej w różnych instytucjach, nie omijając Kościoła, pielęgnować postawę „BMW”: „bierny, mierny, ale wierny”. Z tym że „wierny” oznacza tutaj „zawsze mówiący to, co chce usłyszeć druga strona”. Grunt to powiedzieć takie słowa, które „powinno się” powiedzieć. Reszta jest nieistotna. Wszystko wygląda cacy, jeśli taki czy inny przełożony dobrze się poczuje. I wielu przełożonym to bardzo schlebia. Łatwiej wtedy przytknąć oko, pozwolić na to, czego innym by się nie pozwoliło. W tym sensie wiele naszych instytucji przenika faryzeizm. Konformizm (ujednoczenie pod względem norm) na tym Świecie popłaca. Jezus nie daje się złapać w pułapkę podlizywania się i nieszczerości. Ale płaci za to wysoką cenę.

Z większymi przykrościami muszą często liczyć się ci, którzy coś robią, ale też odważają się powiedzieć, co rzeczywiście myślą. Można gadać wiele. Można żyć najszczytniejszymi ideami. Można się nawet zażarcie o nie spierać, wypisywać je na sztandarach i transparentach.

A wszystko to na nic, jeśli zabraknie czynu.

Czynu nie da się sfignować tak jak słowa. Można go tylko wykonać lub nie.

Czyn można sprawdzić. Intencji człowieka nie widać, bo można ją bardzo starannie zamaskować lub sprawić wrażenie, że jest inna niż w rzeczywistości. Dlatego czyn bardziej wyraża to, kim jesteśmy niż słowa.



Ave Maria... Słowa nieustające...

„Mówimy, że piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami. To, że chcemy iść za Jezusem, to jeszcze za mało. Trzeba zdobywać się wciąż na wysiłek. Rozpocząć stale na nowo wspólną drogę z Jezusem. Żałować za każdą niewierność. Niebo jest wybrukowane codziennymi wysiłkami. Ten, który powiedział „Idę, panie” – ale nie poszedł, miał tylko dobre chęci. Drugi powiedział: „Nie chcę pójść” – opamiętał się jednak i poszedł. Czy nas nie zastanawia, że właśnie „nieposłuszny” spełnił wolę Bożą?”

ks. Jan Twardowski

Świadek

Za panowania królowej Elżbiety w Anglii, która choć na zewnątrz potężnie rządziła, odznaczała się jednak wielką nienawiścią ku wierze katolickiej. Między kapłanami, którzy za głoszenie wiary śmierć ponieśli, znajdował się słynny z gorliwości kapłan Towarzystwa Jezusowego, ks. Ogliwie. O nim to podają następujący szczegół z ostatnich chwil jego męczeńskiej śmierci: Kiedy kat ręce jego na rusztowaniu już stojącego chciał związać, natenczas wyjął on z kieszeni różaniec św. i rzucił takowy pomiędzy niezliczoną rzeszę ludu, oczekującego na jego rychłe stracenie. Różaniec upadł na piersi jednego młodego szlachcica węgierskiego, imieniem Jana z Eckersdorf, który w późniejszym czasie dostąpił godności namiestnika w Trewirze. Otóż ten, starcem już będąc, opowiadał to zdarzenie znajomemu sobie ks. Balbinowi z Towarzystwa Jezusowego jak następuje: „W młodości mojej – podróżowałem po Anglii i Szkocji, jak to zwykle czynią szlachcice węgierscy. Byłem wtenczas młodym niedowiarkiem i jako taki, drwiłem sobie z religii i wszystkiego, co jest świętym. Przypadek jednak zrządził, albo raczej Opatrzność Boska zaprowadziła mnie do szkockiego miasta Glazgowa w sam dzień, kiedy Ojca Ogliwiego, kapłana z Towarzystwa Jezusowego, prowadzono na śmierć. Nie mogę nigdy zapomnieć tej wzniosłej twarzy księdza Ogliwie, idącego na rusztowanie. Kiedy się serdecznie pożegnał z katolikami, którzy stali skupieni około rusztowania, wyjął nareszcie różaniec z kieszeni i rzucił go między nich, może w tym celu, żeby się nim podzielili i jakąś pamiątkę od niego mieli. Różaniec padł jednak właśnie na moje piersi a jam go skwapliwie do rąk uchwycił. Ale katolicy rzucili się na mnie z taką zawziętością, że chcąc siebie ocalić, byłem przymuszony im go oddać, bo inaczej byliby mnie zadusili. Wtenczas nie miałem jeszcze żadnego pojęcia o religii katolickiej, gdyż o takie, jak mówiłem, drobnostki i bagatelki nie troszczyłem się wcale. Lecz, o dziwo, od tego czasu nie miałem żadnego spokoju; różaniec św. tak wielką ranę zadał mej duszy, że gdziekolwiek obróciłem się, w którąkolwiek stronę poszedłem, wszędzie prześladowała mnie ta myśl, niby szepcząc mi do ucha: Dlaczego właśnie padł ów różaniec szlachetnego sługi Bożego na mnie, a nie na kogo innego? Ta myśl niepokoiła mnie kilka lat, aż nareszcie wzięła górę nade mną. Zrzekłem się ohydneho kalwinizmu i zostałem wierzącym katolikiem. Z mojej strony stanowczo przypisuję nawrócenie się do Kościoła katolickiego – różańcowi męczennika. Ach, gdybym go teraz miał, to bym za nic w Świecie nie oddał go nikomu i gdybym go mógł odkupić sobie, żadna cena nie wydawałaby mi się za wielką.”

